NR. 18 ŚRODA 24, GRUDNIA 1930 R. ROK V.

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



MARYSIA SZŁA NAPRZÓD..

Wszystkim swym młodym czytelnikom Redakcja „Przyjaciela Dzieci" przesyła najserdeczniejsze świąteczne i noworoczne życzenia.

O MARYSI I DWUNASTU MIESIĄCACH

BAŚŃ NOWOROCZNA

Otworzyła Janowa drzwi od sionki i stanęła w progu. Wszędzie, jak okiem sięgał, roztaczała się bezkresna biała równina, wśród której chaty wyglądały, jak wielkie kopce śnieżne, rozrzucone bezładnie i przypadkowo.

Drzewa dźwigały na swych podniesionych w górę ramionach olbrzymie kawały lśniącego śniegu, który, osypując się co chwila, padał na ziemię drobnym, lekkim pyłem.

Zdawało się, że jakaś niewidzialna ręka rozdarła ogromną pierzynę przedniego puchu i swawolnie rozrzuciła na cały bezkresny świat.

Choć niedaleko jeszcze odleciało południe, a już długa zimowa noc czaiła się, zarzucała mroczne cienie, rada jaknajprędzej zagarnąć pod swe panowanie cichą, uśpioną ziemię. Śpieszno jej było roztoczyć swą władzę, gdyż była to najmilsza i najbardziej oczekiwana przez ludzi noc Sylwestrowska.

Janowa rozejrzała się wokoło i prędko powróciła do izby. — Maryś! — rzekła do swej najstarszej dwunastoletniej córki — jeżeli chcesz koniecznie lecieć do dziadków, to nie marudź, tylko zbieraj się chyżo. Nocka niedługo zapadnie, a choć do Opola bliziutko, lepiej żebyś za dnia doleciała, bo śnieg tak zaniósł drogi, że łatwo zabłądzić.

— Idę, już idę, jeno aby sceruję Nastkowe pończochy i ogarnę się trochę — odparła wesoło Marysia.

A tu Nastka, usłyszawszy swe imię, jak niezacznie płakać i napraszać się, żeby i ją zabrać do dziadków.

Marysia uspokaja siostrzyczkę i zbiera się do drogi. Włożyła grube wełniane pończochy, wysokie sznurowane buciki i matczyn kożuszek, a wełnianą chusteczką owinęła głowę.

Gdy była gotowa, pocałowała matkę w rękę i rzekła:

— Już idę. Bądźcie zdrowi, matusiu!

Z temi słowy wyszła z chaty.

Do Opola, gdzie mieszkali rodzice jej matki było niedaleko: należało przejść przez wieś całą i minąć kawałek lasu, a już zaraz zaczynały się opolskie pola.

Wkrótce znalazła się w lesie. Śniegu nagromadziło się tak wiele, że z drogi, prowadzącej do Opola, nie pozostało nawet śladu. Nie przeraziło to jednak Marysi i śmiało poszła naprzód, starając się posuwać we właściwym kierunku.

Grunt był strasznie nierówny i dziewczynka raz po raz zapadała się głęboko w suchy, sypki śnieg. Szła dość długo, a jakoś nie widać było końca lasu; więc zatrzymała się chwilę, zmieniła kierunek i znów szła czas jakiś.

Wokoło niej panowała niczem nie zamącona cisza: drzewa i krzewy stały nieruchomo, a wszelkie leśne stworzenia jakby zamarły nagle wśród śnieżnych przestrzeni. Robiło się coraz ciemniej. Marysię zaczął ogarniać dziwny niepokój. Zaniechała zamiaru udania się do Opola i chciała tylko za wszelką cenę wydostać się z lasu i dojść do jakiegoś ludzkiego osiedla. Przestała więc kręcić się i szukać drogi, lecz szła ciągle przed siebie w nadziei, że przecież las skończyć się musi.

Marysia straciła zupełnie rachubę czasu i nie zdawała sobie sprawy, jak długo trwała ta wędrówka. Czuła się bardzo zmęczoną, gdy nagle pomiędzy pniami drzew zobaczyła słabe światełko. Dobywając ostatnich sił, podążyła w tym kierunku. Wkrótce zatrzymała się przed niskiem domostwem, którego nigdy przedtem nie widziała.

Lekko zapukała, a ponieważ nikt się nie odezwał, pchnęła drzwi i weszła do środka.

Znalazła się w dużej biało bielonej i słabo oświetlonej izbie, której środek zajmował długi, starannie zastawiony stół. Choć wszelakiego jedzenia było tam coniemiara, w izbie nie było nikogo.

Marysia ciekawie rozejrzała się po wszystkich kątach i oczy jej zatrzymały się na dużej zasłonie, zakrywającej drzwi, na której wypisane były wielkie cyfry „1931".

Odważna dziewczynka, nie namyślając się ani przez chwilę, jednym ruchem ręki uniosła ciężką kotarę.

Oczom jej przedstawił się dziwny widok: Tuż przy drzwiach obszernej, pustej izby siadział staruszek, okryty ciemną, wypłowiałą opończą. Z pod nasuniętego na oczy kaptura widać było zmiętą, pomarszczoną twarz o zgasłem, mętnem spojrzeniu. Starowina widocznie szykował się do drogi, gdyż w rękach trzymał długi kostur i opierał się na nim ciężko. Na środku izby w wiklinowej kołysce spało maleńkie dzieciątko. Twarzyczkę miało bladziutką i oczki mocno zwarte. Kołyskę otaczało dwanaście dziwnych postaci. Byli tam i młodzieńcy i starcy. Kilku miało długie włosy i białe brody czcigodnych patryarchów. Uwagę Marysi zwrócił młodzieniaszek, ubrany w dziwne szatki— połowa była jasna, jak słońce, a druga ciemna i chmurna; połowa twarzy śmiała się radośnie, podczas gdy druga zdawała się płakać.

Dalej stał młodzieńczyk strojny, jak królewicz z bajki, cały zielony i różowy, jak młoda trawka i kwiat jabłoni.

Inny był jasny i promienny, jak złote łany dojrzałej pszenicy.

A ten znów z różnych owoców zrobił sobie szatkę i przystroił ją różnobarwnemi liśćmi jesiennemi.

Stoi Marysia, dziwuje się i nie wie, co jej czynić należy. Więc westchnęła głęboko, aż tu nagle wszystkie stojące przy kołysce postacie zmierzają ku niej i jedna przez drugą pyta:

— Co tu robisz?

— Skąd przyszłaś?

— Kto pozwolił ci na podobne zuchwalstwo?

Dziewczynka stoi przerażona, a z gromady głos się odezwie:

— Cicho tam, nie mówcie wszyscy na raz! Trzeba dziewczynie wszystko wytłumaczyć i rozpytać ją, a potem postanowimy, co z nią zrobić.

— Dobrze mówi Styczeń, — rozległy się głosy.

Do Marysi zbliżył się wysoki starzec w długiej śnieżnobiałej szacie, ze srebrzystą brodą, zrobioną z sopelków lodu. Powiał od niego przejmujący chłód.

— Wiedz dziecko, że nigdy nikt ze śmiertelnych nie ujrzał Nowego Roku zanim przyjścia jego na świat nie oznajmiło dwanaście uderzeń północy. Zawiniłaś przeciwko temu prawu i musisz ponieść karę. Otóż przez cały okres panowania tu obecnego Nowego 1931 Roku pozostaniesz z nami i służyć nam będziesz. Czy zgadzacie się na ten wyrok, bracia?

— Zgadzamy, zgadzamy! — krzyknęło jednocześnie 12 Miesięcy.

— Musi być ukarana ze swą ciekawość! Niech zostanie z nami i pomaga nam w pracy!

— Ja nie chciałam zrobić nic złego... Do dziadusiów szłam jeno i drogę zmyliłam. Przypadkiem tylko trafiłam do tego domu...— tłumaczy się Marysia i głośno chlipać zaczyna.

Zastanowiły się Miesiące, zamyśliły... A tu z oddali echo jakieś odgłosy niesie... Na zegarze Świata bije północ! Poruszył się starowina, co swoją misję już spełnił, i, przez nikogo nie zatrzymamy, do drzwi się skierował.

Jednocześnie ocknęło się w kolebce małe dzieciątko, otworzyło oczki i wyciągnęło rączęta.

— Kto tu płacze? — zapytało.

— Mała wiejska dziewuszka zabłądziła w lesie, przyszła do naszego domu i przekroczyła prawo — rzekł Styczeń.

— Za karę postanowiliśmy wziąć ją do służby na czas panowania Waszej Jasności.

Rozłożył rączki Rok Nowy i tak mówi:

— Puśćcie swobodnie to ludzkie dziecię i wskażcie mu drogę do rodzinnego domu. Nie chcę, by pierwszym krokom moim na ziemi towarzyszyły łzy i smutek.

Pokłonił się Styczeń nisko, a że czas mu było w drogę, więc otulił się śnieżnym płaszczem i, ująwszy dziewczynkę za rękę, opuścił z nią chatę.

Wkrótce Marysia znalazła się na opolskiej drodze. Towarzysz jej znikł bez śladu, jakby rozpłynął się we mgle wschodzącego dnia.

Puściła się Marysia kłusem i prędko do drzwi chaty dziadków dopadła.

Siedzieli obydwoje przy ognisku i martwili się srodze o spóźniającą się ukochaną wnusię.

A Marysia ogrzała się trochę, posiliła i zaczęła opowiadać zasłuchanym dziadkom dziwy, które widziała w lesie w noc Sylwestrowską.

Aniela Uinon-Gacka.

Nowy Rok

Witaj, witaj, Roku Nowy!
Wnet dni twoje zajaśnieją,
Człowiek do pracy gotowy
Wita cię z nową nadzieją.

A więc naprzód, Roku Nowy!
Z radością Ciebie witamy.
Bywaj zdrowy, bywaj zdrowy —
Na powitanie wołamy.

A chociaż sami nie wiemy,
Czy nam lżej w tym roku będzie,
Jednakże się radujemy,
Mając przyszłość swą na względzie.

Chociaż pracować musimy,
Aż nam pot po czole spływa,
Jednak z zapałem mówimy:
Pracą wiele się zdobywa!

Uściśnijmy sobie dłonie,
Życząc szczęścia, pomyślności,
Jak brat z bratem na zagonie,
Żyjmy w zgodzie i miłości.

Marja F.

Chytrusek

Nie we wszystkich krajach istnieje zwyczaj przystrajania choinki na święto Bożego Narodzenia. Mali Francuzi podarunki otrzymują w dzień Nowego Roku, w wigilję zaś ustawiają przed kominkiem swe trzewiczki, które Św. Mikołaj napełnia słodyczami i drobiazgami.

Mały Piotruś stosownie do przyjętego w jego ojczyźnie zwyczaju, przed udaniem się na spoczynek, ustawił przed kominkiem swe małe pantofelki.

Ułożył się w łóżeczku, lecz jakoś nie mógł zasnąć... Przewracał się z boku na bok, a wciąż ta sama powracająca myśl spędzała sen z jego powiek.

— Jaka szkoda, że moje pantofle są takie małe! Cóż w nie włożyć może Św. Mikołaj? Najwyżej jedną pomarańcz, jabłko, kilka orzechów i cukierków i na tem koniec.

Wtem doskonały pomysł przyszedł mu do głowy. Szybkim ruchem odrzucił kołderkę, wyskoczył z łóżka i cichutko, by nie zwrócić uwagi siedzących w drugim pokoju rodziców, udał się do małego schowanka, gdzie przechowywano obuwie. Pochwycił najbliżej stojące sznurowane kamasze ojca i ustawił je przed kominkiem, swoje zaś pantofle starannie schował pod łóżkiem.

Uszczęśliwiony powrócił do łóżka i wkrótce zasnął. Śniły mu się przez noc całą olbrzymie stosy przeróżnych łakoci, które czerpał bez końca z kamaszy ojca.

Ledwie późny zimowy świt przedarł się przez szczeliny zamkniętych okiennic, gdy Piotruś się przebudził.

Wzrok jego padł na stojące przed kominkiem obuwie. Sny sprawdziły się, gdyż z obydwuch kamaszy wyglądały obiecująco białe i różowe bibułki.

Piotruś w jednej chwili znalazł się przy kominku, lecz zanim zdążył zbadać zawartość kamaszy, mama odwołała go,



...USTAWIŁ KAMASZE TATUSIA...

kazała się umyć, ubrać, zjeść śniadanie i dopiero zająć się upominkami.

Chłopiec usłuchał, ogarnął się byle jak, jednym ząbkiem zjadł śniadanie i nareszcie mógł się zabrać do opróżniania kamaszy.

Przysiadł na ziemi, z wielkiego przejęcia wysunął języczek na brodę i z pośpiechem rozwijał pierwszy wydobyty z kamasza przedmiot.

Papierów i bibułek było dużo, może dziesięć, może więcej...

Rozwijał je kolejno, aż wreszcie w ręce został mu okrągły kawałek mydła do golenia.

Piotruś skrzywił się, uważając ten podarek za niewłaściwy dla siebie i znów zanurzył rękę w kamaszu.

Tym razem również niezliczona liczba papierów okrywała paczkę tytoniu.

Niezadowolenie chłopca rosło... Odrzucił od siebie pusty kamasz i zajął się drugim.

Niestety, zawarte w nim upominki wcale go nie pocieszyły... Znalazł bowiem wśród stosu papieru, który szczelnie wypełniał obuwie, pudełko zapałek i ładną glinianą fajeczkę.

Zawiedziony chłopiec uniósł się gniewem, rozrzucił wszystko po całym pokoju,

a potem w poczuciu swej bezsilności żałośnie zapłakał:

Na płacz chłopca w pokoju zjawiła się mama. Jednem spojrzeniem ogarnęła wszystko i zrozumiała powód tej rozpaczy.

Zbliżyła się do synka i rzekła łagodnie:

— Sam sobie jesteś winien, moje dziecko. Nie chciałeś zadowolnić się rozmiarami twego obuwia i, pragnąc otrzymać więcej niż inne dzieci, ustawiłeś w kominku duże kamasze. Św. Mikołaj zaś, widząc męskie obuwie, myślał, że w naszym domu niema dzieci i zostawił upominki dla tatusia.



Gwiazdka Romka

Od dłuższego już czasu ciężka chmura troski zawisła nad domem Tkaczyków. Na jesieni rozchorowała się matka i, po kilkotygodniowym pobycie w szpitalu, powróciła wynędzniała, osłabiona i niezdolna do żadnej cięższej pracy. Nadomiar nieszczęścia w fabryce, gdzie pracował ojciec, zaczęły się redukcje i z dnia na dzień każdy z pracowników oczekiwał wymówienia pracy.

Widmo bezrobocia stało wciąż u progu, grożąc niedostatkiem, a nawet nędzą.

To też Tkaczykowie w przewidywaniu tej możliwości oszczędzali jak mogli, odmawiali wszystkiego sobie i dzieciom, by jakiś grosz uciułać na czarną godzinę.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia. Pewnego dnia dwie najmłodsze dziewczynki przyniosły z ochronki kilka zrobionych przez siebie zabawek do ubrania choinki.

Matka popatrzyła ze smutkiem na córki i cichym głosem rzekła:

— Moje dzieci, w tym roku nie będzie u nas choinki, nie możemy pozwalać sobie na takie zbytki; teraz już jest nam bardzo ciężko, a nie wiadomo, co będzie do Świąt, może ojciec pozostanie bez pracy...

Dziewczynki nie powiedziały ani słowa, tylko smutnie zwiesiły główki.

Trzynastoletniemu Romkowi, który był świadkiem tej sceny, zrobiło się strasznie przykro. Jemu, choć był najstarszy i chodził do VI oddziału było markotno, że mają być takie suche święta bez słodyczy i choinki, ale on przecież może to jakoś wziąć na rozum i wytłumaczyć sobie, że tak być musi, ale takie maleństwa napewno cierpią jeszcze więcej, gdyż nie zdają sobie sprawy z przyczyn zaszłej w ich życiu zmiany.

Współczucie dla małych siostrzyczek nurtowało chłopca i nie dawało mu spokoju. Przemyśliwał nad sposobem zdobycia pieniędzy na gwiazdkę dla rodzeństwa. Ale jak zarobić? Do kogo zwrócić się o radę? Wprawdzie na ulicach widywał młodszych od siebie chłopców, sprzedających gazety, nie wiedział jednak jak zabrać się do tego, bo przecież pierwszemu lepszemu chłopcu z ulicy nikt nie powierzy gazet.

Gdy tak szedł ulicą, zatopiony w swych myślach, oczy jego zatrzymały się nagle na stosach ułożonych na placu choinek. W jednej chwili jasno zarysowana myśl zrodziła się w jego głowie: będzie roznosił po domach zakupione choinki i tym sposobem zarobi trochę grosza.

Jednocześnie w głębi duszy zjawiła się wątpliwość: — a jak mnie zobaczy który

z kolegów szkolnych i potem wyśmiewać się ze mnie będzie?

Po chwilowej walce z samym sobą, Romek rzekł głośno:

— Jestem czerwonym harcerzem, więc muszę czynem pokazać, że żadna praca nie hańbi i tylko praca dać powinna człowiekowi prawo do życia.

Pokrzepiony powziętem postanowieniem Romek raźno podążył do domu.

Lekcji w szkole już nie było. Wczesnym rankiem Romek udał się na plac, gdzie sprzedawano choinki.

Chłopiec rozejrzał się wokoło, następnie podszedł do jednego ze sprzedających i, uchylając grzecznie czapkę, rzekł:

— Proszę pana, czy mógłbym roznosić choinki?

Zapytany spojrzał życzliwie na sympatyczną twarz chłopca i rzucił:

— A czy poradzisz?

— Co nie mam poradzić! Choć wyglądam mizernie, jestem dość silny — odparł, prostując się Romek.

— To dobrze! Bądź tu zawsze blisko, żebym cię miał pod ręką.

Zaczęła się sprzedaż choinek. Przychodziło mnóstwo osób, starych, młodych i dzieci. Romek raz w raz brał na plecy mniejsze lub większe drzewko i odnosił je bliżej i dalej.

Następnego dnia było tak samo. Uprzejmość chłopca zjednywała mu życzliwość ludzką; płacili mu chętnie i bez targu za jego pracę.

W wigilję rano Romek obliczył swoje kapitały i, kładąc przed matką przeszło 20 zł., rzekł:

— Niech mama kupi co potrzeba do ubrania choinki i na wigilję, a drzewko to ja sam przyniosę..., — a widząc zdumienie matki, dodał:

— Może mama bez obaw użyć te pieniądze, zarobiłem je uczciwie pracą...

W wigilję ruch był mniejszy, a na placu nie było już prawie choinek.

Mrok zapadał, gdy właściciel drzewek rzekł do Romka:

— Idź już, chłopcze, do domu i zabieraj tę choinkę. Sprzedaż mi się powiodła, a żeś pomagałeś mi setnie, przyjmij ode mnie parę złotych na świeczki. Mówiąc te słowa, podał Romkowi 2 złote.

Chłopiec podziękował serdecznie, wziął na plecy „swoją" choinkę i pobiegł do domu.

Zostawił drzewko w sieni, a sam udał się do najbliższego sklepu po łakocie dla dzieci i papierosy dla ojca.

A wieczorem toż to była uciecha! Dzieciaki, chrupiąc cukierki i orzechy, obstąpiły drzewko, na którem jasno płonęły różnokolorowe świeczki, a Romek, patrząc na nie, promieniał, gdyż zrozumiał, że źródłem największej radości jest poświęcenie się dla innych.



Niezmordowanie biegał po piętrach, nie czując prawie zmęczenia, tak był zadowolony, że udało mu się doprowadzić do skutku swoje zamiary.

POJEDNANIE

(Ciąg dalszy)

Jednego dnia cała klasa wycierała nosy i kichała, innym razem chłopcy dusili się od nieustającego kaszlu, to znów zsuwali i rozsuwali ławki, czyniąc przy tem bałas zagłuszający zupełnie słowa nauczyciela.

Wreszcie, nie prosząc o pozwolenie, opuszczali klasę jeden za drugim, zostawiwszy w ławkach zaledwie kilkunastu uczni,

P. Hański nie odwoływał się nigdy do powagi dyrektora, lub klasowego opiekuna, zwykle na początku lekcji łagodnie upominał i uspakajał łobuzów, gdy zaś to nie skutkowało, zdawał się nie widzieć figlów, nie słyszeć krzyków, spokojnie prowadził wykład i przesłuchiwał uczni.

Ten jego spokój właśnie drażnił swawolników i podniecał do nowych psot i żarcików.

— Udaje dobrego, niby to głuchy i ślepy w klasie, a na pierwszej sesji dobrze nas obmaluje przed dyrektorem — mówili najgorętsi przeciwnicy nowego nauczyciela.

Czasem jednak, gdy chłopcy rzeczywiście posuwali się zadaleko w swych złośliwych czynach, p. Hański podnosił się nagle z miejsca, zdawało się, że wybuchnie, lecz opanowywał się natychmiast i patrzył tylko swemi dobremi, bezgranicznie smutnemi oczami, jakby pytając z niemym wyrzutem o powód sprawianych mu przykrości.

Lepsze jednostki buntowały się przeciw postępowaniu kolegów.

Czego wy chcecie od niego doprawdy przebraliście miarę. Nie umiecie ocenić pana Hańskiego. Na was tylko koza i jedynka może wpłynąć! — mówili z oburzeniem.

Lecz drugoroczni zagłuszali te dobre odruchy.

— Cicho, lizusy, idźcie, pocałujcie truposza w rękę, to może da wam piątkę na piwo a zato Mamusia kupi wam irysa za pięć groszy.

Walka więc trwała dalej, coraz groźniejszy przybierając charakter.

Podczas lekcji p. Hańskiego czwarta klasa zamieniała się w jakąś niezwykłą menażerję, gdzie na dany znak dziesiątki różnego gatunku zwierząt wydobywało z siebie dzikie, szalone wrzaski.

Przeciągali sznurki pomiędzy ławkami, a wywołany do tablicy uczeń zaplątywał się w nie, padał niby boleśnie ranny i przeraźliwie krzyczeć zaczynał. Inni biegli mu z pomocą, trzaskając pulpitami, przesuwając ławki i przewracając stosy zgóry przygotowanych książek i zeszytów.

Czasem pióro na stoliku katedry bywało oblepione mieszaniną sadzy i tłuszczu, to znów krzesło umazane kredą; często znikał dziennik klasowy, cała klasa rozpoczynała jednocześnie poszukiwania i po wielu krzykach i śmiechach wyciągano nieszczęsną ocenę postępów w opłakanym stanie z pod ławki lub z za pieca.

Pewnego dnia, gdy już wszystkie znane figle szkolne zostały wyczerpane, wpadli na nowy pomysł: na dany sygnał zdjęli obuwie i zaczęli rzucać je ponad ławkami.

Wtem dało się słyszeć lekkie pukanie we drzwi. Chłopcy momentalnie zamilkli i przyjęli pozy oczekujące.

To stary woźny, Józef, przyszedł z polecenia dyrektora z prośbą, by pan nauczyciel uspokoił uczni. Czwarta klasa znajdowała się nad gabinetem dyrektora, widocznie więc odgłosy zabawy przedarły się przez mury i zakłóciły spokój na niższem piętrze.

Żądanie dyrektora, aczkolwiek zupełnie słuszne, nie było zbyt łatwe do wykonania. P. Hański uderzał w stół ręką, prosił o spokój, obiecywał przeczytać zajmującą historję, chłopcy niby to przycichli, przy pierwszem jednak słowie nauczyciela rozległy się jakieś skoczne dźwięki, wygrywane na stalówkach zatkniętych w ławki.

(D. c. n.)